

ROZMOWA Z
ROBERTEM GULACZYKIEM
aktorem, Antkiem w „Chłopach”

MAJA STANISZEWSKA: Nastąpiła chyba nowa chłopomania – w kinach „Chłopi”, wyróżnieni nagrodą specjalną na festiwalu w Gdyni, gdzie Złote Lwy zdobył „Kos”, film o chłopie pańszczyźnianym i Tadeuszu Kościuszcze, a nagrodę za najlepszy debiut i Złoty Pazur otrzymała produkcja „Tyle co nie” opowiadająca historię współczesnego rolnika. Do tego jeszcze nowy „Znachor”, którego akcja rozgrywa się na przedwojennej wsi...

ROBERT GULACZYK: Ten trend się pojawił chwilę wcześniej w literaturze. Ukazało się kilka ważnych książek, choćby ostatnio „Chłopki. Opowieść o naszych babkach” Joanny Kuciel-Frydryszak. Myślę, że to poszukiwanie tej części naszej historii, która niekoniecznie jest opowiedziana przez najsilniejszych. Więc to dobrze, bo to dużo rzeczy odkłamuje, ale nasz film akurat nie z chłopomanstwa się wziął (*śmiech*). Nie było takiego klucza, przynajmniej ja nie przypominam sobie, żeby w rozmowach z Dorotą [DK Welchman dawniej znana jako Dorota Kobiela, współreżyserka i współscenarzystka „Chłopów” z mężem Hugh Welchmanem] on się kiedykolwiek pojawił. Najważniejsza była dla nas historia – Reymont świetną książkę napisał – która może być nawet bardziej aktualna współcześnie, jeśli się ją odpowiednio zaakcentuje.

Reymont napisał świetną, ale bardzo grubą książkę. Nie było szansy, by zekranizować ją w całości, zresztą dlatego w 1972 roku Jan Rybkowski nakręcił aż 13-odcinkowy serial. Jaki jest klucz do waszych filmowych „Chłopów”?

– Jagna. Jej punkt widzenia, jej wrażliwość. Kluczem były sceny, które niosą historię Jagny i opowiadają ją w trochę inny sposób niż do tej pory, niż serial Rybkowskiego. Dorota zresztą ładnie o tym mówi, że chciała zrobić film nie tyle o kobiecie, ile o wykluczeniu, o inności. Jagna jest tą inną w Lipcach, nie pasuje i przez to kończy, jak kończy – wieś się jej pozbywa.

Mnie zależało, żeby Antek, bez którego nie da się opowiedzieć tej historii, przez to kobiece spojrzenie nie został pokazany jednostronnie. Miałem potrzebę od początku go obronić, chociaż i tak wychodzi, że to kawał skurczybyka. Nie da się temu zaprzeczyć, ale zależało mi na tym, żeby uzasadnić jego dylematy.

Nie jest łatwo być synem starego Boryna.

– Nie jest. Relacja ojciec – syn i w książce, i w naszym filmie wybrzmiewa i też jest ważna, też niesie ze sobą pokłady emocji. Zarówno po stronie ojców, jak i po stronie synów, którzy się z tymi ojcami mierzą. Ojciec był dla Antka punktem, którego przekroczyć nie mógł. Dopiero gdy Boryna zmarł, Antek poszedł naprzód.

Antek jest ambitny. Chce dużo, a niewiele może przez to, że ciągle ojciec jest najważniejszym gospodarzem we wsi i wcale nie zamierza z tej pozycji zrezygnować. Ale czy on się nadaje na gospodarza?

– To zależy, kto czyta. Moim zdaniem tak. Ma wszystkie potrzebne cechy do zarządzania, tylko targają nim emocje. Pytanie, czy na końcu tej historii podejmuje dobrą decyzję. I tym razem moim zdaniem nie, moim zdaniem trochę. Tchórz przed zostawieniem tego, co jest bezpieczne, dla tego, co jest miłością, wolnością. Choć w jego czasach pewnie inaczej bym to oceniał, bo przecież ma żonę, dzieci, obowiązki. Żyje w pewnej konkretnej moralności. Dzi-



„Chłopi” w kinach

ANTEK JAK MALOW

– Nie wychowałem się na wsi, tylko w małej miejscowości, ale widzę, że te mechanizmy wykluczania, wskazywania inności ciągle istnieją.

• **Antek i Hanka, czyli Robert Gulaczyk i Sonia Mielicek**
FOT. NEXT FILM

siaj można to rozwiązać, dzisiaj mnóstwo ludzi się rozstaje, w tamtej rzeczywistości nie było to możliwe.

No właśnie, żonaty mężczyzna z dziećmi wdaje się w romans z młodą sąsiadką, która zostaje jego macochą. Czy on naprawdę się zakochał, czy tylko pożądał?

– Mogę mówić tylko za siebie, ale jeżeli on nie kochał Jagny, to nie ma w ogóle tej historii. Kiedy czytałem Reymonta, było dla mnie tak silne i oczywiste, że Antka i Jagnę porwało ogromne uczucie, które zdarza się raz w życiu.

Ale w końcu on tę miłość zostawia, nie sprzeciwia się wiosce, która Jagnę wwozi na gnoju. Mówi...

– ...w gromadzie żyję i z gromadą trzymam.

Dla mnie stchórzyl, ale to nie znaczy, że uczucie zniknęło. Moim zdaniem Antek jest takim samym niewolnikiem tej społeczności, jak Jagna. Zresztą nie tylko oni. Wszyscy są niewolnikami zależności, przyzwyczajeni, sposobu życia, jaki jest akceptowany przez ludzi dookoła.

Może i chciałby z Jagną wyjechać gdzieś, nawet poza Polskę. To był czas, kiedy chłopcy wyjeżdżali choćby do Stanów Zjednoczonych, i zresztą Reymont miał pomysł na kontynuację książki właśnie o nich. Antek jednak

został przy tym, co bliskie, bezpieczne, ale za cenę dostosowania się.

Na pierwszy rzut oka „Chłopi” to historia romansu, ale im dłużej patrzymy, tym wyraźniej widać, że to też historia o patriarchacie, o tym, jak bohaterowie nawzajem pilnują, żeby każdy znalazł swoje miejsce. Także kobiety inne kobiety, zwłaszcza Jagnę.

– Ale też każda z nich próbuje w tej sytuacji rozepchać się trochę. Choćby Dominikowa, matka Jagny, która była znachorką, a przez to cieszyła się szacunkiem społeczności i mogła sobie na więcej pozwolić. Wójtowa i organiści na też jakoś próbowały pracować na siebie, co miało taki skutek uboczny, że gdy ktoś się wylamywał, to one musiały pierwsze wskazać palcem tę osobę. Jagna była łatwym celem. Oskarżono ją, że targa się z Antkiem, a nikt nie miał do Antka pretensji, że targa się z Jagną. No poza jego żoną Hanką, dla której to był oczywisty ból.

„Chłopi” zostali polskim kandydatem do Oscara, będą mieli dystrybucję w USA i wielu innych krajach na świecie. Byłeś już z filmem za oceanem, na festiwalu w Toronto, gdzie

miał światową premierę. Jak tam reagowała publiczność?

– Bardzo dobrze. Na początku ostrożnie do tego podszedłem, bo mieliśmy sporo publiczności polonijnej, a wiadomo, że ona jest specyficzna, ma w sobie jakiś rodzaj tęsknoty za polskością. Oni byli w zachwycie, pierwszy się na nas rzucili. Ale to, co się działo później na spotkaniach, gdzie na przykład ludzie pytali, czy film będzie pokazywany w Indiach, bo dla nich to jest bardzo ważna i aktualna historia – tam handlowanie przyszłością młodych kobiet jest na porządku dziennym, tam to wciąż jest podstawowy problem, ten patriarchy, który daje mężczyznom prawo do decydowania o ich córkach, ale też o ich żonach. Myślę, że nawet się nie spodziewamy czasem, skąd zainteresowanie filmem może przyjść.

Grająca Jagnę Kamila Urzędowska mówiła w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów Extra”, że wychowała się na wsi i że nadal mechanizmy odrzucania osób, które nie wpisują się w schemat grupy, są podobne. Ty coś wiesz o polskiej wsi?

– Nie wychowałem się, jak Kamila, na wsi, gdzie było 300 mieszkańców, tylko w małej, 18-tysięcznej miejscowości, ale te mechanizmy są mi jak najbardziej znane.

Miałem ostatnio taki przykład, który mnie zmroził, bo myślałem, że pewne rzeczy mamy już za sobą, ale... Niedawno zmarł mój tata, na pogrzebie wygłosiłem mowę, którą chciałem z nim pożegnać. Potem dotarły do mnie słowa, że wszystko fajnie, ale dlaczego nie podziękowałem ojcu za to, że mnie ochrzcił? Tymczasem od prawie 20 lat głośno mówię, że jestem ateistą. Nikogo nie piętnuję za to, że jest wierzący, szanując religię, szanując pra-

Miałem potrzebę od początku obronić Antka, chociaż i tak wychodzi, że to kawał skurczybyka. Nie da się temu zaprzeczyć, ale zależało mi na tym, żeby uzasadnić jego dylematy



lę męską w filmie „Tyle co nic”. Tam się poznaliśmy ponad 20 lat temu, a potem wylądowaliśmy na jednym z studiach, Artur był rok wyżej ode mnie. Strasznie ucieszyłem się z nagrody dla niego.

Ewelina zaraziła nas teatrem, aktorstwem, sceną. Zawdzięczamy to jej mrowczej pracy w niedużej – Piła ma jakieś 80 tysięcy mieszkańców – miejscowości, w której nie ma teatru instytucjonalnego. Co jest moim zdaniem skandalem, bo jest to rejon, gdzie w każdą stronę do najbliższego teatru jest około 100 kilometrów. Tego teatru brakuje, porównywalne miasta jak Gniezno czy Legnica swoje mają. Postanowiłem zdawać na studia aktorskie i dostałem się na wydział lalkarski we Wrocławiu.

Zaraz po szkole dostałeś etat w teatrze?

– Zrobiłem zastępstwo w teatrze w Zielonej Górze, po którym dyrektor zaproponował mi etat. Choć chciałem pracować w Legnicy. Jeszcze w czasach Teatru Wirtualnego obserwowałem, co oni w tej Legnicy wyprawiają, i bardzo mi się to podobało. Ewelina robiła z nami bardzo społeczny teatr. Ze spektaklem „Rycerz smętnego oblicza” na podstawie „Don Kichota” jeździliśmy na przykład po wsiach ze scenografią spakowaną na mały wózek, graliśmy na polach o zachodzie słońca. Docieraliśmy na miejsce, rozstawialiśmy wszystko, co nam było potrzebne, po czym udawaliśmy się w wędrowkę po wsi od domu do domu, zapraszając ludzi. Przychodziły głównie kobiety, co nie jest jakoś dla mnie zadziwiające, dużo starszych kobiet i dzieci. Czasem graliśmy dla ośmiu osób. Jacek Głomb w Teatrze im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy robił teatr oparty na podobnej idei, chciał docierać z nim do zwykłych ludzi. Ale kiedy po szkole przyszło do wysyłania CV, nie wysłałem swojego do Legnicy. Okazało się, że to był błąd. Ale po trzech latach tam trafiłem i zostałem na 12 bardzo istotnych lat.

Widziałam na Instagramie twoje pożegnanie z tym teatrem, niezwykle czule.

– To jest miejsce, które robi bardzo dobrą robotę. Jest związane z konkretnym miastem, ale też tworzy spektakle, które jeżdżą po świecie. I ma prawdziwy zespół. Ludzi, którzy znają się, czują się wzajemnie na scenie. Bardzo się cieszę, że miałem okazję być w takim miejscu, które jest tak bardzo „w istocie” teatru. Bardzo dużo mi dało, bardzo dużo.

Gdy kilka lat temu zdarzyła mi się przygoda z Vincentem van Gogiem, którego zagrałem w poprzednim filmie Welchmanów „Twój Vincent”, parę osób mnie pytało, czy nie chciałem wykorzystać szansy, która się wtedy pojawiła, żeby mocniej zafunkcjonować na rynku serialowo-filmowym. Wtedy nie byłem na to gotowy, zupełnie nie czułem potrzeby odejścia z tego teatru. Przeciwnie – czułem się jego integralną częścią. Szczepie mówiąc, jeszcze się z tego nie wyleczyłem, na szczęście mogę wracać, bo spektakle, w których grałem, pojawiają się w repertuarze.

Odszedłeś z Teatru Modrzejewskiej dwa lata temu, przeprowadziłeś się do Warszawy.

– Ta decyzja przyszła do mnie po zakończeniu zdjęć do „Chłopów”. Dostałem na tyle dużo pozytywnego feedbacku od ludzi, których poznałem na planie, i od aktorów, którzy od lat funkcjonują w warszawskim świecie filmowym, że stwierdziłem, że to chyba jest ten moment.

Przerażające, że jesteśmy w takim punkcie, w którym jako grupa zawodowa boimy się mówić o swoich potrzebach. Choć jako aktorki i aktorzy jesteśmy chyba najbardziej zindywidualizowaną grupą pracowniczą

Grasz drugą główną rolę w filmie, w którym zostałeś zamalowany – wszystkie sceny aktorskie zostały później pieczołowicie namalowane przez malarzy, tak powstała malarzka animacja.

– Nie mam takiego poczucia. W „Twoim Vincencie” sekwencje ze mną były czarno-białe, bardziej wyraziste w sensie gry aktorskiej niż te kolorowe, w których styl malarzki Vincenta – te grube pociągnięcia pędzla, grube warstwy farby – powodował migotliwość obrazu i w opinii wielu osób częściowo zasłaniał aktorów. Zresztą pamiętam moją pierwszą reakcję na propozycję – skoro to film animowany, malowany, to po co im aktor? Ale gdy zobaczyłem pierwsze fragmenty, byłem zaskoczony, jak dużo gry aktorskiej przechodzi. Nie mam więc poczucia, że coś mi zostało zabrane. W „Chłopach” zresztą styl jest z malarstwa dużo bardziej realistycznym.

Do „Twojego Vincenta” trafiłeś, bo jesteś podobny do van Gogha?

– Dorota tak twierdzi, a ja się ciągle z tym kłócę. Zresztą kiedyś w Musée d'Orsay w Paryżu stałem przed „niebieskim” autoportretem van Gogha, który był główną referencją do filmu, a za mną dwójka ludzi właśnie o „Twoim Vincencie” rozmawiała. Nie poznali mnie, a ja nie miałem potrzeby się demaskować. To był czas dla mnie, chciałem być sam z tym malarstwem i z emocjami, które we mnie wywołuje.

A jak cię przyjęła Warszawa?

– Nie mam płynności w pracy – i to jest coś, co mi najbardziej spędza sen z powieki, ale ten zawód nie jest łatwy pod tym względem.

Myślę, że bardzo wielu aktorów i aktorek ma ten problem, nawet ci, którzy mają już jakąś rozpoznawalność. Działam w Związku Zawodowym Aktorów Polskich – i to jest jeden z tematów, które często pojawiają się w naszych rozmowach. Założyłem firmę, ale zbliżam się do etapu, kiedy minie sześć miesięcy niżek, i nie wiem, co będzie dalej. Czy będę mieć na tyle płynność finansową, żeby tę firmę utrzymać? Bez wsparcia państwa wielu artystów ciągle jest na lodzie i zostanie na lodzie. Strach myśleć, jak będą wyglądały ich przyszłe emerytury.

Część polityków, ale i część publiczności powie, że jest trzeci filar, można było odkładać, tylko się tego nie robiło.

– Zapewne są osoby, które mogą sobie na to pozwolić, ale wchodzimy w temat widzenia artysty w społeczeństwie, nie tylko przez polityków: oni sobie tam chodzą po tych czerwonych dywanach, uśmiechają się w telewizji, o co im chodzi? Tyle że to dotyczy bardzo małego procentu aktorów czy artystów w ogóle. Reszta mierzy się z brakiem zatrudnienia, z tym zatrudnieniem niejednostajnym, z nierównościami płacowymi, nawet z wykorzystywaniem ekonomicznym. Do tego dochodzi brak ubezpieczenia zdrowotnego, urlopu macierzyńskiego.

To są często takie tragedie ludzkie, że nie sądziłem, że to powiem kiedykolwiek, bo będąc w teatrze, też nie czułem się jakoś szczególnie dobrze opła-

cany, ale myślę, że w tym momencie teatry są ostoją spokoju zawodowego.

Trwający wciąż strajk aktorów w Hollywood może nieco do publiczności wyjaśnić? Tak, gwiazdy zarabiają miliony, ale aż 87 procent ze 160 tysięcy wykonawców zrzeszonych w związku SAG-AFTRA nie zarabia tyle, by dostać ubezpieczenie zdrowotne przez ten związek wynegocjowane.

– Praca aktora to nie zawsze jest praca na scenie czy przed kamerą. Mnóstwo aktorów pracuje jako lektorzy, prowadzi warsztaty, gale, imprezy. Szukają swoich ścieżek i pieniędzy na utrzymanie. Ale podejrzewam, że gdyby aktorzy mieli mówić sami za siebie, toby powiedzieli, że chcieliby występować tylko w teatrze i przed kamerą. To się jednak zdarza nielicznym.

Według raportu „Policzone i policzeni! Artyści i artystki w Polsce” przygotowanego pod kierunkiem profesor Doroty Ilczuk dla Ministerstwa Kultury czynnych zawodowo aktorek i aktorów jest 5,5-6 tysięcy. Raport powstał na potrzeby ustawy o artystach zawodowych, która została zatwierdzona przez właściwie wszystkie środowiska twórcze. Ale utknęła w konsultacjach międzyresortowych. Podobno nie ma na nią zgody w Ministerstwie Finansów. Co jest też o tyle dziwne, że ona jest właściwie samofinansująca się.

Co to znaczy?

– To znaczy, że obciążenie dla budżetu, które jest przewidziane w związku z tą ustawą, byłoby pokrywane z opłaty reprograficznej. Tylko trzeba do rozporządzenia o niej, które ma chyba już 19 lat i wymienia kserokopiarki, kasy magnetofonowe czy odtwarzacze wideo, dopisać nowe sprzęty, m.in. smartfony i tablety, z których dzisiaj wszyscy korzystamy. I pojawił się opór. Głównie producentów tych sprzętów, a to bardzo silne lobby.

Co ciebie przywiodło do związku?

– Chęć działania na pewno, ale też irytacja. Kiedy w Legnicy po raz kolejny nie mogliśmy czegoś przewalczyć w regulaminie pracy czy w regulaminie wynagradzania, to się wkurzyłem i te związki założyłem, namówiłem wszystkie koleżanki, kolegów, żeby to wreszcie zmienić. Na tej fali wybrali mnie na przewodniczącego i zacząłem działać. To jest niełatwa robota, przede wszystkim ta w zarządzie głównym, do którego zostałem wybrany dwa i pół roku temu, robota, za którą nie pobieramy wynagrodzenia, a tych maili z bieżącymi sprawami, prośbami o interwencje, o konsultacje, opinie, o pisma przychodzi do nas często dziesiątki dziennie.

Nie boisz się, że potencjalni pracodawcy mogą patrzeć krzywo na to, że jesteś związkowcem?

– Bardzo często przechodzi mi to przez myśl. I nie ukrywam, że przewija się też w momentach, kiedy próbuję ludzi zachęcać do przystąpienia do związku. Zdarza się, że ktoś mówi, że agentka czy agent mi powiedzieli, że producenci krzywo na to patrzą. Ale to mnie tym bardziej utwierdza, że trzeba o tym głośno mówić. Nie zamierzam się ukrywać, co więcej – chcę działać. Przerażające, że jesteśmy w takim punkcie, w którym jako grupa zawodowa boimy się mówić o swoich potrzebach. Choć jako aktorki i aktorzy jesteśmy chyba najbardziej zindywidualizowaną grupą pracowniczą. Każdy pracuje na swój wizerunek. Rywalizacja pomiędzy nami jest ogromna, ale tak naprawdę rzeczy, na które się wkurzamy w codzienności naszej, które nas bolą, są te same. Możemy to zmienić, ale musimy przestać się bać i zjednoczyć się we wspólnej walce. ●

ANY

wo do niej, ale też wymagam, co oczywiście nie jest łatwe, to proces, szacunku do mojego podejścia. Dla mnie to było mocne doświadczenie, te słowa, chociaż od lat mieszkam poza tą miejscowością. Mechanizmy wykluczania, wskazywania inności ciągle są, istnieją i ciągle pracują.

Co sprawiło, że zostałeś ateistą?

– Jako młody chłopak byłem ministrantem, później przez chwilę lektorem, czytałem Pismo Święte podczas mszy. To było krótko przed szkołą teatralną. A potem tak się życie ułożyło, myślę, że przez ludzi, których spotykałem na swojej drodze, że zauważyłem, że religia... Może to strasznie zabrzmiało, ale nie jest mi do niczego potrzebna. W tym sensie, że odbiera mi siłę, odbiera mi sprawczość. Często jest tak, że modlitwy czy jakieś intencje kierowane do Boga to są prośby. A można je kierować do siebie, do swojej sprawczości. Oczywiście, każdy ma inną wrażliwość, to jest moje spojrzenie.

Jak się znalazłeś w szkole teatralnej?

– Jako chłopak z małej miejscowości nie brałem w ogóle pod uwagę tego, że mogę zostać aktorem. Lubilem bardzo i nieźle mi szły recytacje, pojechałem na kilka konkursów recytatorskich. Natomiast do liceum chodziłem już w Piłę, 20 kilometrów od Trzcianki, w której się urodziłem. Recytacja i konkursy recytatorskie nadal mi towarzyszyły, aż w końcu polonistka wysłała mnie do Eweliny Wyrzykowskiej, która w domu kultury prowadziła Teatr Wirtualny, żebym zobaczył, czy to może coś dla mnie. No i jak poszedłem, to już stamtąd nie wyszedłem.

Co ciekawe, z Teatru Wirtualnego wywodzi się też Artur Paczesny, który dostał w Gdyni nagrodę za główną ro-